

Głosem profana

Muzycy najczęściej nie pozwalają wyrażać profanom opinii o wykonaniu jakiegoś koncertu czy niedużej kompozycji symfonicznej; architekt niechętni są krytykom swoich urbanistycznych pomysłów, plastycy „wtrącającym się” do malarstwa. Twierdzą przy tym najczęściej, że jeśli ktoś nie przeszedł szczebli wyższego wtajemniczenia — wolno mu otwierać usta tylko dla wyrażenia naiwnego podziwu.

Nie zaprzeczajcie! Urządza się co prawda dyskusje, pozwala się wpisywać swoje „wrażenia z sali wystawowej”, lecz w gruncie rzeczy krytykowie uśmiechają się z pobłażaniem. „Cóż ci profani, którzy nie skończyli ASP mogą powiedzieć o malarstwie?” Mało tego, gdy ktoś zabierze obrazoburco głos drukiem, wznosi się pomruk gniewu. Czy tak nie jest? Stąd właśnie mam wielkie emocje zabierając profański głos w sprawach plastyki.

Mam jednak swoje legitymacje.

Mogę na przykład nie znać się na medycynie, lecz ufam... Gdybym miał operować swoje kamienie żółciowe lub tarczycę, bez wahania wybrałbym prof. dr. D. Gdybym miał uszkodzone zastawki — zjawiłbym się u doc. dr. M. Ufność moja do tych dwu chirurgów płynnie z wiadomości o ich dotychczasowym powodzeniu lekarskim, gruntownej wiedzy specjalizacyjnej, uczciwości zawodowej i tak dalej. Sam jednak nie potrafiłbym wykonać najprostszego cięcia chirurgicznego, ani nawet podwiązać naczyń. Jestem bowiem absolutnym profanem w tej dziedzinie. Nie odważyłbym się tak. Ze tych dwu lekarzy powołuję, jak powinni robić operacje. Chyba... chyba, żeby im pacjenci jeden po drugim umierali. Wtedy nawet ja, profan, mógłbym zabierać głos, jako członek tego beksztalnego ciała, które jest jednak bardzo konkretne — jako członek opinii publicznej.

Oczywiście rozważamy tu wszystko teoretycznie. Dwom chirurgom nadał wiedza sprzyja i dlatego mają „szczęśliwą rękę”. Gdy jednak przystąpić do rozpatrywania spraw plastyki, rzecz ma się inaczej. Sztuka malarska przeznaczona jest, podobnie jak wiara lub niewiara w istoty nadprzyrodzone — do społecznej konsumpcji — i zjawisk tych nie można budować tylko na czczym zaufaniu. W sprawach medycyny, jak powiedzieliśmy, istnieje przesłanka bardzo konkretna, uzasadniająca materialistyczną zgoda wiare w powodzenie operacji. A w sztuce? Obrazy olejne, grafiki, rzeźby mają oglądać ludzie; mało — sztuka ma im służyć na co dzień. Powinna im towarzyszyć każdego dnia.

A jeśli jej nie rozumiemy?

„Cała trudność w tym, żeby poznać najpierw jeden lub dwa obce nam języki, jakimi przemawia do nas sztuka, wtedy ten trzeci nie będzie dla nas już tak trudny...”. Tak właśnie napisał tydzień temu Bogdan Danowicz na tym samym miejscu, no i przeciw jego wnioskowi chcę zaprotestować głosem profana. Nie dlatego, że reprodukowany obraz Mariana Szymańskiego (pretekst felietonu „O pewnych bohomozach”) zupełnie nie przypada mi do gustu. To już inna sprawa. Po profańsku uważam, że za kubistycznym, surrealistycznym czy innym malarstwem deformującym rzeczywistość do brzydoty kryją się bardzo poważne słabości twórców. Naiwnie sądzę, że aby malować na wyżynach Tycjana, Rembrandta, Goya, Matejki, Wysockiego czy innych trzeba przede wszystkim genialnie rysować. To jest, zaznaczam, przekonanie zwykłego obrazoburcy, który oglądał wiele ilustrowanych albumów malarskich, a w nich zauważył (ku swemu zdumieniu!) ogromną ilość studiów jakich dokonywali wlechy kryfeyse sztuki. Ba! Ich próbie szkice osiadały później wartości rynkowe przekraczające ukończone oryginały nie najpodlejszych artystów niższych o pół szczebla. Są to rzeczy tak znane, że aż żenujące jest przypomnienie o tym.

Tymczasem... Co w reprodukcjach olejnych Mariana Szymańskiego było piękne? Znowu naiwnie przypuszczam, że malarstwo powinno służyć podnoszeniu uczuć estetycznych, wzniecać wrażliwość człowieka na piękno, a nie uczyć ich jakiegoś plastycznego „esperanto”. Taka zabawa pozbawiona byłaby sensu; ludzie nie mają czasu na pustostawne zajęcia. Ale, wracając do piękna. Inkriminywany „olej” zestawio-

(Ciąg dalszy na str. 2)

NOWY ŚWIAT

Jej wielkie i burzliwe życie

Nie łatwo jest ogarnąć skromną notatką rocznicową życie tak wielkie, bogate i burzliwe. Można tylko z grubsza naszkicować najważniejsze zarysy, przypomnieć kontur postaci. Cokolwiek jednak się napisze o Róży Luksemburg, będzie to wiedza cząstkowa; była bowiem ta kobieta zjawiskiem wyjątkowym. Śmiało możemy bowiem powiedzieć, że po W. I. Leninie — wśród sobie współczesnych przywódców socjalistycznych — należy się jej czołowe miejsce. Była przecież bodaj najwszechstronniejszą działaczką: pracowała jako agitator, organizatorka ruchu robotniczego, była odważną, ciętą w piórze publicystką; pracowała nad naukowym uzasadnieniem rewolucji.

Na ogół znana jest jej rola w dziejach polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego; znana, lecz w bardzo ogólnikowych zarysach. Na przykład jej udział w walce o polskość Wielkopolski, jej działalność w obronie języka polskiego w szkołach b. zaboru pruskiego — dotychczas za stał zbyt mało spopularyzowany. Warto więc przeczytać kilka fragmentów prac, dotyczących tego okresu jej działalności. Warto przy tym zaznaczyć, że robotnicy polscy naszej dzielnicy obdarzali Różę Luksemburg wielkim zaufaniem; z ich mandatu była delegatką na wiele kongresów socjaldemokratycznych — tak niemieckich, jak i międzynarodowych.

Była Róża Luksemburg pionierką internacjonalistką. Wobec nacjonalizmu zajmowała nieprzejednaną postawę — zwalczając bezkompromisowo kierownictwo PPS-u, które zaszczerpie chciało polskiemu ruchowi robotniczemu na cjonalistyczny światopogląd. Na przekór temu wielka rewolucjonistka podkreślała, że je

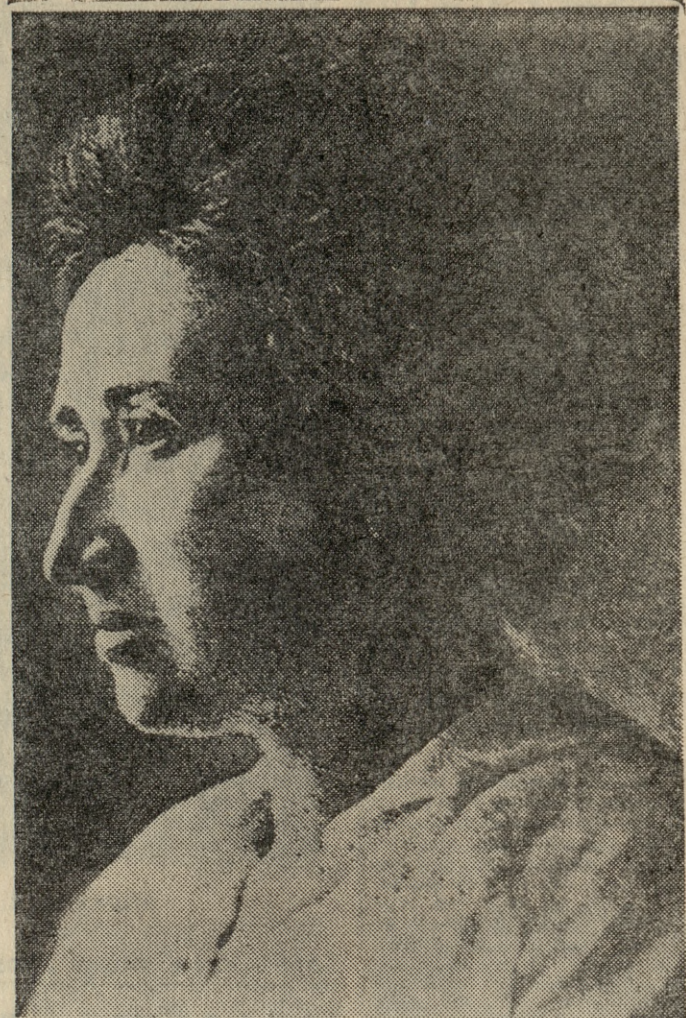
dynie w oparciu o solidarną walkę z ciemnizcami, wspólnie z robotnikami rosyjskimi i niemieckimi — może polska klasa robotnicza odnieść zwycięstwo. Walka Róży Luksemburg z nacjonalizmem dowodziła głębokiej troski o przyszłość ludu polskiego, a obrona praw narodowości polskiej w b. zaborze pruskim — jej osobistego patriotyzmu, przywiązania do spraw tradycji i kultury polskiej.

Przez długi czas patrzano na wielką rewolucjonistkę przez pryzmat jej błędów; uśiłowano rozmięknąć na czynniki pierwsze korzenie systemu, zwanego „błędami luksemburgizmu”. Oczywiście — nie wolno zapominać o pomyłkach wybitnej teoretyczki ruchu robotniczego, lecz warto zwrócić uwagę, że polegały one przede wszystkim na fałszywym zrozumieniu przemian, dotyczących imperialistycznej fazy kapitalizmu. Muśimy jednak pamiętać, że tylko jeden Lenin zbadał i prawidłowo ocenił tę fazę kapitalizmu; wyprowadził z jej przesłanek wnioski dla strategii i taktyki proletariatu, a późniejsze wypadki Października potwierdziły słuszność teoretycznych założeń. Róża Luksemburg, mimo teoretycznych błędów, najbardziej zbliżyła się do też leninowskich spośród przywódców lewicy II Międzynarodówki, a w czasie rewolucyjnych wypadków korygowała błędne założenia do słusznych wskazań dyktowanych przez życie. W stosunku do samej siebie była surowa; potrafiła z iście bolszewickim hartem przyznać się do błędów, i je naprawiać. Charakterystyczne jest, że w ostatnim okresie działalności, gdy już z Karolem Liebknechtem organizowała „Związek Spar-

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”

Niedziela, 15 I 1956

Rok VII Numer 2



Róża Luksemburg: „O systemie wynaradawiania”

„Na lud polski uczyniony został nowy zamach ze strony rządu pruskiego. Przez rozporządzenie ministra oświaty Studta wyteplone zostają ostatnie resztki polskiego języka ze szkół miasta Poznania; jedyna dotychczas po polsku wykładana nauka religii będzie odtąd również po niemiecku nauczana! Dzieci nasze, które w szkole pół dnia spędzają, nie mają przez ten czas słowa w swoim własnym języku narodowym, w języku ojców i matek usłyszeć. Wykształcenie, pokarm duchowy, który na całe życie w szkole w siebie wessać mają, będzie im dawany całkowicie w obcym, niezrozumiałym dla nich języku... Czy to nie są niesłychane stosunki? Toć szkoły na to się zakładają, toć dzieci swoje lud na to do szkół posyła, aby w nich światła nauki nabrały, aby wyrosły na rozumnych, wykształconych ludzi, na pożytek sobie i krajowi swojemu na pociechę. Tymczasem w Poznańskim szkole ma służyć nie dla oświecania dzieci, lecz do wykirowania ich na duchowe kaleki, nie znające własnej narodowości i mowy, nie do rozsiewania wiedzy i cywilizacji, tylko do krzewienia gwałtem niemieczyny.”

(1900 r.)

Róża Luksemburg: „O Mickiewiczu”

„Gdyby Polska w literaturze swojej nie posiadała nikogo więcej, z najzupełniejszym prawem mogłaby rościć pretensje do zajęcia godnego miejsca w literaturze światowej obok najpierwszych narodów kulturalnych. Adam Mickiewicz jest nie tylko największym poetą polskim i jednym z największych w świecie. Jest on poetą, z którego imieniem jak najmocniej spleciona jest cała narodowa i duchowa historia Polski.”

Rewelacyjny artykuł „ŻYCIA WARSZAWY”
SENSACJE KAPKI

Wszystko to jest niezwykle i... nieprawdopodobne. Najbardziej jednak niezwykły jest sam 63-letni Władysław Kapka.

Gdy się widzi jego ogniste, ciemne, omal cygańskie oczy, czarne wąsiki, energiczne ruchy i młodzieńczy entuzjazm — wydaje się, że ma lat 20—30. Spracowane dlonie, pocrone czoło i policzki, a i słowa dobiegające z epoki sienkiewiczowskiej — wydają się zdradzać człowieka po siedemdziesiątce.

Jego gospodarstwo, pięknie położone w dolinie za wzgórzem, daleko od ludzkich siedzib, też nie jest przeciętne. Dojeżdża się tam z Tarnowa drogą miejscami tak piękną, że aż dech zapiera.

Stara, rozlatująca się, lecz czystułka chałupka pod strzechą, a obok niej drewniana szopka i niskie, rozrośnięte sze-roko korony drzew owocowych. Ogrodzenia nie ma.

O Kapce przez wiele lat nie wiedział nikt. On sam zna z pół świata. Jeszcze w czasie I wojny światowej zjeździł i schodził wielkie obszary Rosji, Azję Środkową, całą Europę. Potem osiadł na ojcowiznie w Porębie Radziejewskiej.

Z wędrowek przywoził przekonanie (zresztą niesłuszne), że urodzaje obniżają się, że zboża, okopowe, drzewa, krzewy wyradzają się, marnieją. A ludzi wciąż przybywa — co więc będą jeść? I wtedy znalazł cel swego życia: jest rolnikiem i jego obowiązkiem jest dbać o wystarczającą ilość chleba dla ludzi. Więc jeśli ma zna ulepszać drzewo owocowe przez szczepienie, dlaczego nie można by w podobny sposób ulepszyć zbóż?

Kombinował tak i siak, próbował rozmaicie. Zaczął w 1923 r. Doświadczenia swe ulepszał i zmieniał rokrocznie — i wciąż bez rezultatów. Ale nie

rezygnował, choć już wszyscy z niego drwili, uznali za dziwaka.

Tak minęło 29 lat. Dopiero w 1952 r. po raz pierwszy udało się Kapce doświadczenie: połączył owies z żytem i otrzymał „owies żytni”. Jakże nadludzkiej trzeba było cierpliwości i wytrwałości, by przez o-mal 30 lat w samotni, w ciemnej, biednej chałupie, otoczony drwinami i niechęcią, przetrawiać wszystkie „przebrane” i nie rezygnować z celu.

Krzyżówki wegetatywne, międzygatunkowe (tzn. powstałe ze szczepienia, a nie drogą piciową przez zapylenie) udawały się dotąd niezbyt wielu hodowcom poza Mieczysławem. Kapka wierzy, że dokonał wielkiego odkrycia. Wierzy, że odtąd będzie można jego metodą zmieniać i ulepszać omal cały świat roślinny.

Kapka postanowił, że o jego odkryciu pierwszy dowie się — Bolesław Bierut. Ale najpierw musiał być pewny, że próba uda się zawsze. Więc czekał jeszcze trzy lata. Cóż to jest wobec poprzednich trzydziestu? Rozmnażał też osiągnięty materiał. Aż w 1955 r. mógł zaadresować list: „Pan Bolesław Bierut — Warszawa”.

Odpis listu Kapki z prośbą o zajęcie się bliżej sprawą poszedł do Krakowa, do Woj. Zarządu Rolnictwa. Sprawą zajął się inż. Kazimierz Czajkowski, specjalista oceny odmian. Za-interesował się i Zw. Samopomocy Chłopskiej. Przyjeżdżali też dziennikarze, pisali bardzo ogólnie, czekając, jaki sąd wyda nauka.

A nauka nie wydaje sądów szybko ani pochopnie. Inż. Czajkowski ziarna Kapki dał do badania Wyższemu Szkołom Rolniczym w Krakowie i Poznaniu oraz znanemu hodowcy zbóż, dr. Mazurkiewiczowi ze

Stacji Doświadczalnej IHAR w Polanowicach. Badania muszą potrwać co najmniej kilka lat. Odpowiedź nie przyjdzie szybko.

Od pierwszej udanej próby Kapka poczynił ogromne postępy. A metody jego są w zasadzie zdumiewająco proste. Ostrą i twardą żyłką przecina on suche ziarno na pół, lub na części, moczy je 10 sekund w wodzie, a gdy „wypuszczą klej” — zlepia je razem, suszy i sadzi. Po takiej operacji przysmaga się zaledwie 3 proc. nasion, zrosniętych z połówek czy kilku cząstek zupełnie różnych gatunkowo ziaren. Na malutkich i większych poletkach rosną już rośliny, nazwane przez Kapkę: owies żytni, owies pszeniczny, jęczmień pszeniczny, jęczmień jęczmieniowy, żyto żytnie...

Kapka nie uznaje jarych zbóż, gdyż dają mniejszy plon niż ożime. Łączy więc ożime z jarymi, ożime z ożimymi, miesza — jak mówi — różne „smaki”, chce otrzymać wszystkie w jednym ziarnie, a więc i takie nasienie, które by powstało z połączenia wszystkich 5 rodzajów zbóż...

Rezultaty jego „połączeń” nie są tylko ciekawostką naukową. Rośliny przez niego wyhodowane odznaczają się nie zwykłą bujnością, żywotnością i wysokim plonem. Z jednego ziarna wyrasta krzak o 50—60 żdźbłach, zakończonych pełnymi nasion kłosami długości 20 cm. Liczyliśmy sami, w kłosach było przeciętnie od 80 do 90 ziaren!

Słoma „owsa żytniego” miała 180 cm długości, z jednego nasionka wyrósł 56 żdźbł i tyleż kłosów. Sama słoma jest bardziej miękka niż żytnia, twardsza niż owsiana, a gładka, jak jedwab.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Róża Luksemburg:

„O sprzymierzeniach narodu polskiego”

„Jedna jest tylko w narodzie niemieckim partia, która nam sprzyja szczerze i przeciw germanizacji, jak przeciw wszelkiemu bezprawiu, nie tylko głos donośny, ale i pięść zacisniętą podnosi. Tą partią jest Socjaldemokracja, partia niemieckich robotników... Robotnik niemiecki, tak jak i nasz polski robotnik czy rzemieślnik, w ogóle nigdy z cudzej krzywdy nie żyje, tylko z własnej, ciężkiej, a uczciwej pracy. Nie krzywdzicielem on jest innych, ale owszem, pokrzywdzonym jest sam i dlatego nasz ucisk zrozumie i odczuje, że sam jest uciskany i to przez tych samych, co nas, Polaków, duszą: przez rząd niemiecki...”

(1900 r.)

Róża Luksemburg: „O szlachcie wielkopolskiej”

„Kiedy socjaldemokraci w Poznaniu pierwsi stanęli do obrony polskiego wykładu religii, zniesionego przez pana Studta, i zwolali wielki wiec ludowy, na którym zwywali cały lud pracujący do walki obronnej, co uczynili inne partie naszego społeczeństwa? Nasza „śmietanka narodu” — szlachta, obywatelstwo wiejskie — ani się odezwęła. Oni, co to zawsze i wszędzie przewodnikami, głową narodu się nazywają, co to na straży interesów narodowych niby stoja, co swój patriotyzm rozgłaszają zawsze i wszędzie — gdzie byli, gdzie są, kiedy trzeba bronić ludu, jego mowy ojczystej? Nie masz ich! Gdy mandaty poselskie do parlamentu, do sejmiku zagarnięte trzeba, wtedy ci wszyscy Kwilecy, Chłapowscy, Czartoryscy, Radziwiłłowie, Kościelscy jak na zawołanie są i wygłaszają „obywatelskie” i „patriotyczne” mowy. Reprezentacja w stolicy, w Berlinie, w to im gra! Ale gdzie się podziewa cały zapas „obywatelstwa” i „patriotyzmu”, kiedy ci panowie, wybrani głosami ludu, zasiadają w krzesłach poselskich w parlamencie? Cóż dobrego uczynili oni dotychczas dla ludu polskiego przez swoje posłowanie? Nic a nic! W parlamencie i sejmie ci nasi polscy posłowie siedzą jak mumie egipskie, ani sily, ani wpływu, ani poważania nie potrafili sobie zdobyć. Kiedy przez cały rok w parlamencie toczy się walka zawzięta między postaciami rozmaitych partii o najżywniejsze sprawy ludu, o prawa ochronne dla robotników fabrycznych i dla rzemieślników, o prawa obywatelskie dla parobków rolnych, o cia na zboże i mięso, wtedy naszych polskich posłów ani słychu, ani dychu. Jak trzeba bronić ludu od drożyzny, od podatków, od ucisku rządowego, to naszym Czarińskim, Radziwiłłom i Kwileckim język sztywnieje w gębie. Raz na rok wykłwiał parę słów przeciw germanizacji, ale i to bez pierza i bez mięsa, bez soli i pieprzu, że ministrowie się na nich ani obejrza. Inaczej zgola występują socjaldemokratyczni posłowie w obronie polszczyzny, choć dotychczas Polaka ani jednego między nimi nie ma. Oni to wpływem swoim dokonałi w swoim czasie, że jeśli kto w sądzie oświadczy, iż nie zna dostatecznie niemieckiego języka, musi mu być dodany urzędowy tłumacz. Oni rokrocznie wypominają rządowi, że na Górnym Śląsku działwa szkół jest pozbawiona.”

(1900 r.)

Głosem profana

(Ciąg dalszy ze str. 1)

ny z kubistycznych linii, trapezoidalnej czy romboidalnej głowy, psa pełniącego funkcję mniej więcej równoramiennego trójkąta oraz potwornie kanclastej kobiety (och, żeby mi się nigdy taka w nocy nie śniła!) — jest dobrze skomponowany. To trzeba przyznać. Profan jednak uważa, że to jest rzeczywiście sprawa formy, a więc coś beztreściowego, jakby inaczej powiedzieć — kompozycja jest metodą wyrażania myśli. Nie może być celem samym w sobie, bo ludzie przeciętni (a dla nich chyba artysta tworzy, sądzą naiwnie) — po prostu nie rozumieją. Stąd właśnie źródło mego potężnego zdziwienia, gdy przeczytałem nawoływanie Bogdana Danowicza:

„Najwyższy już czas, aby o brazy malarzy typu Szańdły i innych zawisły w wielu naszych publicznych salach, poczekalniach i gabinetach przyjęć itd.”

Osobiście zalecałbym wstrętność, choćby z uwagi na to, że w poczekalniach przebywają czasem dzieci. Mogłyby się przestraszyć. Poza tym raczej szukajmy tego co piękne. Nie unikajmy przy tym brutalności, lecz doprawdy — brzydota obrazu, jego płaskość tomatyczna dyskwalifikuje rangę artystyczną. Goya był brutalny. Goya deformował perspektywę i ludzi. Goya jednak wiedział, co chce powiedzieć, i każdy bez wyjątku go rozumie, już od stu z górą lat. Jego obraz — chłopci stojący przed łupami egzekucyjnego plutonu — wstrząsa nami na każdym razem, gdy na niego spojrzymy. Wstrząsa nami także ów słynny obraz Picassa — „Wojna w Korei”. Powiedziałbym dalej — są to jakieś bardzo bliskie ze sobą spektrumie obrazu. Goya naszkicował konkretną sytuację i ją malarzko wyidealizował, Picasso rzucił na płótno wizję koszmarnego. Na pewno sytuacji podobnej do tej, jaka rozgrywała się na płótnie współczesnego malarza — nigdy nie było. Mimo to stanowiła syntezę wyobrażeń ludzkości o wojnie koreańskiej. I dlatego uważamy obraz za arcydzieło.

Nie zapominajmy przy tym, że wielki Goya genialnie rysował, namalował dwa najpiękniejsze chyba w dziejach sztuki obrazy malarstwa akty kobiece. Nie zapominajmy przy tym, że wielki Picasso genialnie rysuje, że potrafił narysować byka pojedynczą kreską, obciążającą jego sylwetkę, a mimo to zwierzę jest plastyczne. Ze poza tym picassowskie gołębie są także dowodem nie byle jakich umiejętności przedstawiania istot żywych.

Zaznaczam, są to wszystko przekonania profana i co gorsza profana niewierzącego. W malarstwie abstrakcyjnym, oczywiście. Białego stronnictwa będą epinie wyłożone za chwilę. Posłuchajcie jednak: artyści mają prawo do eksperymentowania, mają prawo malować świat takim, jakim go widzą. Niech psy będą trójkątami, kobiety mają piersi jak piramidy Cheopsa, a głowy jak mumie Inków rżęsy grube jak dżdżownice... Na wszystko zgoda. Malujcie, przyjaciele! Ale powiedzcie, że zabawa ta nie przypada do naszego gustu. Zastanówcie się także nad faktem, że życie popłynie, jak w tej pieśni: „Ja pójdę górą, ja pójdę górą, a ty dolina...”. I co z takiego spaceru wyjdzie? Nie oczywiście, bo trudno oglądać malarstwo z perspektywy kilkusetmetrowej przepaści.

Sądzę, że postulaty Bogdana Danowicza trzeba by odwrócić. Chyba przecież będzie, gdy artyści malarze nauczą się przemawiać zrozumiałym językiem do ludzi — niż ludzie uczyć niezrozumiałego języka malarzy. A swoją drogą słusznie porażono to zjawisko. Sztukę niekomunikatywną trzeba zwać ciałem, poprzez dyskusję, także wyrażanie dzieł na widok publiczny — a nie przez przemawianie i zakazywanie. Grypa przechodząca była przy czymś groźnym komplikacji. Gdy da się rzetelny środek na pety — mija bez skutków.

Wypełni więc, co zawiera bakterie brzydoty. Zostawiajmy, co piękne, prawdziwe, mądre.

Janusz LIKOWSKI



Murzynki z Madagaskaru

Zagraniczna popularność poznańskiego pisarza

Rio de Oro i Kanada „nie pachnąca benzyna”

„Der polnische Schriftsteller Arkady Fiedler hat Kanada vor dem Kriege besucht und seine Eindrücke und Erlebnisse damals niedergeschrieben. Der Verfasser hat das „benzinindufende“ Kanada nur „gestreift“, um umso gründlicher mit den abgelegenen Gegenden im Norden und dem geheimnisvollen Urwald Bekanntschaft zu machen.”

Tak oto pisała szwajcarska „National Zeitung”, wychodząca w Bazylei, 12 grudnia 1946 roku z okazji ukazania się w języku niemieckim: „Kanada pachnąca żywicą” (tytuł w tłumaczeniu: Harzduftendes Kanada).

16 najpoważniejszych dzienników i czasopism szwajcarskich powitało ukazanie się „Kanały” z ogromnym zadowoleniem, jako że na dobrą książkę o tematyce podróżniczej zawsze czekają najszerze rzesze czytelników.

Być może, dla wielu z nas fakt ukazania się w Szwajcarii książki polskiego pisarza — podróżnika, może się wydać



bardzo odosobniony; tymczasem ma Fiedler w zasobie pisarskim duże osiągnięcia, gdyż książki jego ukazały się już w wielu językach. Zajmijmy się choćby edycjami powojennymi. Zebrała się ich cała „porcja”; oto w NRD ukazały się dotąd:

„Das nach Harz duftende Kanada”

„Fische singen im Ucayali”

„Erlebnisse mit Urwaldtieren”

„Heisses Dorf auf Madagaskar”

„Rio de Oro”

Poza tymi wydaniami, jeśli chodzi o język niemiecki, wyszły w Szwajcarii wspomniane już

„Harzduftendes Kanada”

„Die Fische singen im Ucayali”

W roku 1948 wyszła w Anglii (n.b. w świetnej szacie graficznej) „The river of Singing Fish”. Była to praca kolektywu

*) Polski pisarz Arkady Fiedler odwiedził Kanadę przed wojną i opisał wtedy swe wrażenia i przeżycia. Autor „musnął” zaledwie o Kanadę „pachnącą benzyną”, natomiast bardzo wnikliwie poznał się z odległymi okolicami na Północy i tajemniczymi lasami.

tłumaczy, która ukazała się na półkach przed Gwiazdką. Wydawcom zależało bowiem na tym, by angielski czytelnik poznał się z „Rybami”, jako książką, której tematyka była dotąd „specjalnością” właśnie Anglików. Istotnie, trzeba przyznać, że Amazonkę z jej olbrzymim dorzeczem, Amazonię, znają Anglicy najdokładniej, najlepiej i dużo i dobrze o niej pisali. A przecież „Ryby śpiewają w Ukajali” rozeszły się wtedy w dwóch tygodniach. Bardzo ekskluzywny wydawcy angielscy, a zwłaszcza znana oficyna wydawnicza Hodder and Stoughton wraz ze znanym klubem: Readers Union... nie mogli nie wydać „The Madagascar I Love” (wyszła w polskim języku w Anglii w 1946 roku jako „Żarliwa wyspa Beniowskiego”).

„Ciepły i barwny obraz Madagaskaru...”, pisze wkrótce po tem dziennik „Scotsman”; w „Illustrated London News” recenzent nie może ukryć zdziwienia z powodu „obrazowości i świeżości spojrzenia na egzotykę”; poczytne pismo „Western Mail” podziwia wachlarz zainteresowań pisarza i jego spostrzegawczość, gdy chodzi o ludzi, kraj, florę i faunę.

Należy dodać, że ilustracje (akwaforty) do tego wydania wykonał znany w Anglii Polak

„CHCĘ ŻYĆ!”

Poznałam ją przed paru laty w Zakopanem. Śmigała na nartach wśród smarków, sama wiotka i wysmukła jak sosienka. Opalona ślicznie buzia śmiała się niebieskimi oczami do światła, ludzi, śniegu i słońca. Była instruktorką narciarską w jednym z domów wczasowych.

Przypadłyśmy sobie do serca. Opowiedziała mi dzieje swego młodego życia, a później już los nas ciągle stykał z sobą, miałam więc możność obserwowania jej i otoczenia, w którym przeżywała. Pochodziła z rodziną, jakby się w ankiecie personalnej napisało — „Inteligencja pracująca”. Dziedzicznie obciążona skłonnością do gruźlicy płuc, często musiała przerywać naukę i spędzać po parę miesięcy w górach. W sanatorium poznała swego przyszłego męża, równie gruźlika — zakochała się w nim i wbrew woli rodziny wyszła za mąż. Zamieszkali w Zakopanem. Po roku urodziło się dziecko. Niedługo byli szczęśliwi. Znacznie starszy od niej mąż nie wziął na swoje barki utrzymania domu. Miał zresztą przyjaciółkę, z

którą spędzał długie godziny, troskę o dom zostawiając żonie. Wkrótce przejrzała. Nie pomogły prośby, długie rozmowy rozsypującego się domu nie utrzymały, drobne dionie kobiece chwylały się każdej pracy.

Rozeszli się. Dziecko odwiozła do rodziców, a sama wyjechała do Warszawy. Zaczęła pracować. Zdawałoby się, że przecież teraz już musi być wszystko dobrze.

Ba. Nie było dobrze. Warszawa uderzyła jej do głowy jak wino. Wyciągały się po nią ciwne ręce męskie. Młoda, ładna, wolna — cóż dziwnego. Rozluźniły się hamulce. Kolejni opiekunowie, a przede wszystkim ci starsi, lubili pokazywać się w towarzystwie młodej, ładnej i inteligentnej dziewczyny. Trwonila lekkomyślnie skarby młodości i uczuć. Przeplatała się do życia pobytami w klinikach i sanatoriach. Kiedy po roku spotkałam ją w sanatorium, zarażona już była bakcylem wielkiego miasta. A jednak...

A jednak, kiedy przychodziła o zmierzchu do mego pokoju i czytała mi wiersze Tuwima, a później gawędziłyśmy — sądziłam, że wyzwoli się, że zacznie żyć inaczej. Sama również pisała drobne utwory. We wszystkich domach szukała czegoś lepszego, ucieczka od próżni i ukochanie przyrody. W tym, co napisała, tak jak i w jej życiu dobro ścierało się ze złem, szukanie nowych dróg — z utartymi szlakami. Nieprzeciętna inteligencja, otwarty umysł, a jednocześnie brak kierunku, wykształcenia i ideałów. Należała do pokolenia, które dostało już wszystko „gotowe”, nie dostrzegała tego, że życie codzienne dawało masę możliwości, że było właśnie dla młodych. Pod wpływem naszych długich rozmów zapalała się, obiecywała, że zabierze się na serio do nauki, że zerwie z dotychczasowym życiem. Lecz pobyt w sanatorium rychło się skończył. Wróciła do Warszawy i zaczęła żyć jak dawniej...

... Po kilku miesiącach milczenia dostałam list. Z sanatorium w Zakopanem. Leży chora, czeka na operację, ma bardzo dziurawe płuca i chce żyć.

„Chcę żyć, bo i góry płoną w słońcu kolorami pięknymi jak sen i liście na brzozech za oknem zmieniają barwy z dnia na dzień i słońce wstaje co dzień w krasie złotej jesieni...”

Wstrząsnął mną ten list i zaczął zrewidować swój stosunek do niej. Zawiniłam. Mogłam przecież przyjść jej z pomocą. Obdarzyła mnie zaufaniem, zwierzała mi się. Wiedziała więc, że intelektem wybiegła daleko przed swoją rodziną o drobnomieszczańskim sposobie myślenia, która, prócz zakazów, nic jej nie dawała. Powinnam więc była nie tylko wskazać, ale i pomóc w wyprostowaniu jej życia. Konsekwentnie, a nie dorywczo okazać zainteresowanie, stanąć mocno przy niej w chwilach wahania się. Nie skorzystałam z przywilejów, ale też i obowiązków, jakie nakłada na nas jedno z najpiękniejszych uczuć — przyjaźń.

Wierzę w wiedzę i wierzę, że wróci do zdrowia. Wówczas postaram się być jej prawdziwym przyjacielem.

Nie pragnę znowu kiedyś otrzaskać listu, w którym będzie wołanie „Chcę żyć!”

M. J. SYPNIEWSKA

SEN — czy letarg zimowy

Jesień zgubiła już swą barwną szatę. Płactwo wędrownie opuściło nasz kraj, by spędzić okres mrozów w słońcu Południa. Te pta ki natomiast, które pozostają nam wierne i przebywają u nas nadal, nakładają prawie wszystkie „cieplejszą odzież”. Reszta zaś zwierząt, o których zamierzamy mówić, zapada w sen zimowy.

Powiedzmy od razu, że nie jest to sen w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale raczej — letarg. Wszystkie procesy życiowe siabną w po ważnym stopniu a spostrzegawczy obserwator łatwo może u takiego zwierzęcia stwierdzić — o ile je w ogóle znajdzie — że oddycha ono bardzo słabo, przy czym uderzenia pulsu są prawie niewyczuwalne. To zjawisko jest całkiem proste. Gdyby bowiem przemiana materii odbywała się w sposób normalny, — wówczas owe zwierzę musiałoby po bierać pokarm. A z pokarmem w okresie zimy, jak wiemy, jest kłopot.

Oczywiście, nie wszystkie zwierzątka zapadają w tak mocny sen zimowy, jak na przykład węże bądź jaszczurki, które ukryły się pod chrustem bądź w zacisznych jamach. Łatwo natomiast spotkać można podczas cieplejszego dnia zimowego jeża, poruszającego się nie zdarnie, albo wiewiórkę, kicającą na gałęziach drzew.

Zaby natomiast zagrzebuja się w dnie naszych wód, niejednokrotnie nawet głęboko w mule.

Dodajmy wreszcie, że zwierzęta słabe i chore nie zawsze są zdolne przetrwać zimę. Giną często z chwilą przebudzenia się ze swego snu na skutek zbyt szybkiego „zjedzenia” swoich zapasów, bądź też dlatego, że nie mają już sił zdobyć koniecznego dla życia pokarmu.



Ta niesamowita kobieta posiada lakierowane paznokcie długości 4 centymetrów. Uczy ona grozy słuchaczy i widzący stacji telewizyjnej w Los Angeles. Nosi pseudonim „Vampira”. Swoją spektakl telewizyjny zaczyna od wstawania z trumny, a następnie porusza się między szkieletami, pajakami, skorpionami, szubienicami i elektrycznymi krzesłami. Opowiada o morderstwach i samobójstwach. Bije pod tym względem wszelkie rekordy głupoty. Ale dreszczyk strachu (i nie tylko strachu!) — wywołuje, to pewnie. Nawet przez swą podobieństwo do reprodukcji zdjęciu.

Sławny — z roztargnienia

Z „kawabów” referenda-rza Józefa Morawskiego (z Oporowa pod Poniecem), który kiedyś gościł u siebie Mickiewicza, zaśmiewała się nie raz cała okolica. Trzeba wyjaśnić, że sam był ich sprawcą. Jadąc z wizytą ówczesnym zwyczajem ubierał się we frak, a na niego kładł surdut, który zwykł był zdejmować w przedpokoju. Gdy pewnego razu zjechał do ks. Sułkowskiego w Rydzynie, przez roztargnienie zdjął nie tylko surdut, lecz i frak i wszedł do salonu ku radości zgromadzonych tam gości w kamizelce. Gdy mu zrobiło się chłodno, spostrzegł, ku swej konsternacji, że jest — bez fraka.

Innym razem wybrał się z żoną do odległego o 15 km Leszna. Sprawy swoje załatwił, wszedł do powozu i wrócił do Oporowa. Tu zdziwiony, że żona nie wyszła go powitać, pyta o nią i dowiaduje się, że pojechała z nim do Leszna. Co było robić? Czym prędzej zaczął zaprzęgać i pojechał po żonę do Leszna, która niecierpliwie czekała na niego... w hotelu. (S)

„Sensacje Kapki”

(Dokończenie ze str. 1)

Nasiona zbóż wyhodowanych przez Kapkę są 2—4 razy większe od ziaren powszechnie znanych. Chcieliśmy wziąć po garści — na pokazywanie. Ale nawet tyle nie miał: siał jesiennie, a wszystko, co mu z siewów zostało (na 1,4 ha gospodarce niewiele jest miejsca dla zbóż) oddał na wymianę sąsiadom. Nawet z odległych wsi przychodzili i brali, stwierdza sąsiad Kapki — Wawrzyniec Sułkowski, bo — „przecież takiego wielkiego ziarna nikt, jak żyje, nie widział!”

Przyjdą lata — mówi Kapka — że wszyscy będą tylko takie wielkie, jak moje, ziarno siali. Nikomu go nie zabraknie. Zapomną wnet o dawnych, chudych latach. — I prze skakując z jednej myśli na drugą, dodaje: — „Żyto żytnie B2” i „owies żytni — H7” (Kapka używa własnych nazw i oznaczeń) — jeszcze wymaga ją dużo pracy. I opowiada nam o rozmaitych sposobach łączenia ziaren.

Gdy inż. Czajkowski proponuje Kapkę, że wiosną przy wiezie mu ziarno różnych odmian kukurydzy, aby na nich poprobowali swych sił — Kapka z początku nie chce wierzyć. — A nie śmiejecie się ze mnie? — pyta. — Przecież szczerzo go i drwiono z niego przez tyle lat. Zaprzeczamy kategorycznie. Jest wzruszony. Ludzie z miast, z Warszawy, z Krakowa proszą go o coś,

szukają jego pomocy, współpracy...”

I wtedy wtajemnicza nas po spiesnie, jakby z obawą — by nie przysł nastroj zaufania — w swoje dalekie cele. Bo — przecież można wszystko zmniejszyć. Już zaczął robotę z nasieniem ziemniaków. Ale — czyżby nie można zmniejszyć i lasów?

Jedne owady — szkodniki „lubia” sosny, drugie tylko świerki... Gdyby tak złączyć w jedno nasiona różnych drzew i wyhodować drzewa nowe, których nie tknie żaden szkodnik, które będą rosły dziesięć razy szybciej i bujniej... Co?... — Może to fantazja — nie wiem — bo nie próbowałem, — mówi. — Póki życia starczy — będę pracował... A czego ja nie zrobię — zrobią inni.

I ja nie powiem „ostatniego słowa”. Trzeba zostawić je nauczycielom. Ale nawet gdyby krzyżówki Kapki nie miały wartości trwałej, nie dawały nowych, utrwalałonych dziedzicznie form roślinnych, to jednak kto wie, czy nie zyskają takiej oceny i sławy, jaka zdobyły nieśmiertelne hybrydy kukurydzy, dające zwykłą plon do 30 proc.

Plon zbóż Kapki waha się w granicach od 60 do 100 q z ha. Myśl jego i metoda jest śmiała, nowatorska. A przede wszystkim — czyż szlachetna, bezinteresowna postać Władysława Kapki nie jest warta poznania?

I. Gumowska („Życie Warszawy”)

KŁOPOTY Z NAUKOWCAMI

Wizyta na Wall Street

Będziemy chyba musieli zmienić nasze utarte mniemanie o naukowcach. Dotychczas sądziliśmy, że są to ludzie dość obojętni na co dzieje się wokół nich, że nie mają żadnych emocji, że nie mają żadnych potrzeb. W rzeczywistości są to ludzie, którzy mają wszystkie potrzeby, które mają ludzie. Są to ludzie, którzy mają swoje życie, swoje problemy, swoje radości i smutki. Są to ludzie, którzy mają swoje miejsce w świecie. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do życia. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do miłości. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do wolności. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do szczęścia. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do życia. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do miłości. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do wolności. Są to ludzie, którzy mają swoje prawo do szczęścia.

cia ludzkości, cały nasz świat — postawić na głowie. Ostatnio, na przykład pojawiły się w prasie światowej doniesienia, że naukowcy rozpatrują problem, czy nie można byłoby wynaleźć sposobu na neutralizowanie siły po wszechne ciążenia, a zwłaszcza — siły przyciągania ziemi.

SILA CIĄŻENIA JAKO „NAPĘD STARTOWY“

Ze taka możliwość istnieje — wydedukowano to w „prosty“ sposób.

W jednej z ostatnich swych teorii — „zjednoczonej teorii pola“ — Einstein udowodnił, że zarówno siły powszechnego ciążenia (grawitacji), jak i siły elektromagnetyczne są podporządkowane wspólnemu prawu, że między tymi dwoma rodzajami sił istnieje ścisła współzależność. Skoro tak jest, pytają uczeni (m.in. uczeń Einsteina — Václav Hlavatý, William L. L. i in.), skoro istnieje jakiś „naturalny mechanizm“, który jednoczy te dwa rodzaje sił, to w wypadku poznania tego „mechanizmu“, powinna istnieć również możliwość neutralizowania (przy pomocy odpowiednio przekształcania) sił elektromagnetycznych siły przyciągania ziemskiego, możliwość stworzenia sztucznych pól grawitacyjnych.

Jaką korzyść miałaby ludzkość, gdyby ta hipoteza znalazła potwierdzenie, gdyby ów „mechanizm“ udało się wyliczyć, odkryć?

Wyobraźmy sobie, że mamy już taką rakiętę kosmiczną, wyposażoną w hipotetyczny — nazwijmy go — „grawito-magnes“. Przy właściwym ustawieniu grawito-magnesu, rakietę można odwrócić się od Ziemi przy minimalnym nakładzie energii. Tony paliwa, eksplodujące w silnikach, stałyby się zbędne. Na statek ten nie działałaby przecież siła ciężkości. W przestrzeni kosmicznej mógłby poruszać się on z ogromnymi prędkościami, przy czym najbardziej raptowne zmiany kursu tego statku „wiozącego“ za sobą własne pole grawitacyjne, najbardziej gwałtowne przyspieszenia, nie byłyby wyczuwalne dla pasażerów.

Powiecie — fantazja, nierealistyczna fantazja. Ale ileż to „fantazji“ nauczono się przekształcić w rzeczywistość? I to szybko! Nie przypuszczajcie, że mogli najwięcej nawet fantazji?

Zresztą — nawet jeśli hipoteza „sztucznego pola grawitacyjnego“ nie znajdzie potwierdzenia w dalszych badaniach — i tak mamy sporo argumentów, że uczeni całkiem serio mają zamiar w niedalekiej przyszłości dość radykalnie

przekształcić tryb życia i pracy człowieka na Ziemi.

PERSPEKTYWY FOTOSYNTETY

Pomijając już zdobycze z zakresu wiedzy o atomie — przypatrzmy się, jakie konsekwencje pociągnie za sobą odkrycie tajemnicy, do której rozwiązania nauka zbliża się konsekwentnie krok po kroku: odkrycie mechanizmu fotosyntezy.

Nie tak dawno uczonej udało się po raz pierwszy w historii zmusić światło słoneczne do wytworzenia cukru i skrobi z dwutlenku węgla i wody — poza komórką roślinną.

Jest to dopiero pierwszy krok, ale gdy nauka ostatecznie wyjaśni zagadkę fotosyntezy, gdy znajdzie sposób, by odtwarzać proces fotosyntezy w skali przemysłowej — będzie można produkować chleb dla miliardów ludzi, bez uprawiania pól, bez siania, bez koszenia. Na podobną rewolucję czekamy także w przemyśle.

Zarówno w Związku Radzieckim, jak i w Ameryce istnieją już i produkują fabryki — automaty. W fabrykach tych mogą elektronicznie powołać do życia aparaty telewizyjne sterujące i kontrolujące pracę całego zestawu maszyn. Cały proces produkcyjny przebiega niemal bez udziału człowieka.

Dotychczas są to obiekty dość nieliczne, ale jak stwierdził jeszcze w r. 1953 na jednej z konferencji inżynierskich, W. Trapeznikow — uczeni radzieccy pracują nad stworzeniem „ogólnej teorii stosowania automatycznego“, teorii, która uogólniając dotychczasowe doświadczenia, uprościłaby znacznie pracę nad projektowaniem maszyn fabryk-automatów.

Przeobrażenie całego przemysłu na produkcję automatyczną, w świetle osiągnięć współczesnej nauki jest nie tylko realne, lecz dość bliska perspektywa. Zamierzenia na najbliższą pięćdziesiątkę w Związku Radzieckim przewidują np. bardzo poważne rozszerzenie produkcji zautomatyzowanej.

W związku z tymi perspektywami, które stworzyła nauka, wyłania się dość istotny problem: co będą robić rolnicy, gdy fotosynteza przeprowadzana na skalę przemysłową dać nam będzie mąkę na chleb, co będą robić robotnicy, jeśli pięciu, dziesięciu ludzi obsługiwać będzie całą fabrykę? W jaki sposób będą wówczas ludzie zarabiali pieniądze?

DLA NAS NIE BĘDZIE PROBLEMU —

Nie jest to pytanie retoryczne. Dla Ameryki automatyzacja produkcji stwarza nader trudny do rozwiązania problem społeczny.

Obliczono, że w Stanach Zjednoczonych przedstawienie na produkcję zautomatyzowaną tylko w tych zakładach, które mają na temu już teraz pełne możliwości — pociągnie za sobą w ciągu bieżącego roku wzrost liczby bezrobotnych o około 8 milionów.

W warunkach kapitalistycznych, w rezultacie wprowadzania automatyzacji, robotnik staje się zbędny, zostaje po prostu zwolniony. Nie opłaci go się „trzymać“.

Ale wzrost bezrobocia pociąga za sobą utratę zdolności nabywczej mas. Nie dziwnego więc, że prof. Wiener, konstruktor jednego z pierwszych na świecie sztucznych mózgów, z głębokim niepokojem zapytuje: „Kto będzie kupował lodówki, żarówki, aparaty radiowe, kiedy nie będzie już robotników, którzy je produkują, ani ich kolegów, którzy zatrudnieni są gdzie indziej?“

Być może kapitalistom amerykańskim uda się przez jakiś czas tłumaczyć te ciągle nasilające się sprzeczności przy pomocy nieprzebiegającego w środkach rozszerzania zagranicznych rynków zbytu. Na jak długo jednak odwiecie to wybuch konfliktu? Tego konfliktu, który chyba jest najbardziej niebezpieczną ilustracją faktu, że współczesne dobrodziejstwa nauki, współczesne możliwości techniczne — rozsadzają stare struktury społeczne, domagają się nowych form ustrojowych.

My, rzecz jasna, podobnych trosk wobec perspektywy rozwoju techniki, automatyzacji, wobec wybitnego wzrostu wydajności pracy itp. — nie odczuwamy. „Damy sobie radę“ z każdym wzrostem produkcji, dzieląc ją bez wielkiego kłopotu w myśl znanej zasady: każdemu według pracy, czy też (gdy nasze zasoby wystarczająco wzrosną) według zasady: każdemu według potrzeb.

CIĘKAWOŚĆ KAŻDEGO

Niemniej jednak, i nas bardzo interesuje odpowiedź na pytanie: jak właściwie będzie wyglądało nasze życie za lat dwadzieścia, pięćdziesiąt? Jak to „będzie“ wówczas, gdy zatrze się różnica między pracą fizyczną a umysłową, gdy praca sprowadza się będzie do dozoru automatów i do pracy twórczej, gdy nawet biurokraci stracą podstawę istnienia, bowiem wszystkie bilanse, zestawienia statystyczne, obliczenia wskaźników itp. itp. wykonywać będą za urzędników matematyczne maszyny elektroniczne?

Nie łatwo jest ogarnąć wyobraźnią wszystkie konsekwencje wykorzystania „współczesnych“ osiągnięć nauki i techniki — i rzecz jasna — konsekwencji postępu społecznego. Ale jedno jest pewne: pracować będzie wówczas znacznie łatwiej. Za to uczyć się — bez porównania trudniej. Kto wie, czy przyszli maturzyści nie będą musieli na wyrywki i szczegółowo znać całej — i ogólnej i szczególnej — teorii względności Einsteina... TAD



Twarze napięte. Ręce zaciśnięte. Oczy white tylko w jeden punkt na nieco odległej ścianie — tam, gdzie wyświetlają notowania giełdowe. Wypracowane przez setki tysięcy robotników zyski przelewają się tutaj, na Wall Street — z kieszeni do kieszeni. Rozgrywa się wielka gra. Ten pierwszy z prawej, przypatrzcie się dobrze — musiał postawić na dobrego konia. Jego akcje na pewno poszły w górę, zarobił. Ten grubas w pstrokatym krawacie chyba przerzucił na całego. Pewnie spotkał go całkowity zawód, podobnie jak sąsiada.



Ale właściwa gra nie odbywa się przy uczestnictwie nerwowych mężczyzn wsparciach na balustradzie giełdy. Oni bowiem są pionierzami, niewiele znaczącymi w tłumie. Za to tych dwóch panów, to rzeczywisti gospodarze najbogatszej ulicy świata — bankierzy. Tego w ciemnym płaszczu coś zawiodło, a drugi... drugi sobie myśli: kilka milionów już się ma, ale przydałoby się więcej. Konkurenci przecież nie zasypiają gruszek w popiele.



Ta dama ma złote okulary, ma złotą bransoletkę wysadzaną niebieskimi brylantami, ma na palcach pierścioni z ogromnymi szmaragdami o wiele droższymi od brylantów, ma na szyi sznur ogromnych, prawdziwych pereł. Na talerzu ma najdroższe smakołyki. Jednej rzeczy tylko nie ma ta milionerka — kulturalnego smaku.



Lepiej to jeszcze zobaczyć na drugim zdjęciu: Wyflokowana IMC pani milionerka poplotkować jednak lubi, jak każda zwykła kobieta na świecie. Widzimy ją w bardzo wyjątkowej sytuacji — na bocznej od Wall Street ulicy i pieszko.



A to, co to jest za scena obyczajowa z „wolnego świata“? Ano, nie nadzwyczajnego. Po prostu codzienne metody zabezpieczenia zysków wszystkich wyżej przedstawionych w repertuarze francuskiego pisma „Regards“.

OKIENKO na ZACHÓD

SPOKOJNE NERWY

Pewna paryska klinika kobieca, wczuwając się w los wszystkich ojców oczekujących na szczęśliwe rozwiązanie, urządziła specjalną poczekalnię, którą wyposażały w stoły ping-pongowe, przyrządy gimnastyczne oraz inne przedmioty służące do uprawiania ćwiczeń. Jak wykazały doświadczenia napięcie nerwów u panów ulega na skutek gimnastyki dużemu odprężeniu a ich stan oraz samopoczucie są zupełnie zadowalające.

NIE ZASZKODZI

Wprawdzie religia i mydło, tak na pierwsze spojrzenie nie mają z sobą nic wspólnego a jednak w kraju „wszelkich możliwości“ bywa inaczej. Może właśnie dlatego znany amerykański koncern mydlarski „Procter and Gamble“ wpadł na całkiem oryginalną ideę. Mianowicie z okazji rozpoczęcia budowy budynku administracyjnego dla swej fabryki w Cincinnati, dyrekcja kazała wmurować w charakterze kamienia węgielnego dużą płytę ceramiczną, na której został utrwalony pierwszy wiersz z Biblii, przetłumaczony na czterdzięci języków.

OBSŁUGA WŁASNA

Pewna grupa kupców w Kalifornii robiła w ciągu ostatnich lat tak dobre interesy, że wzbudziła u swoich konkurentów nie tylko zazdrość, lecz jednocześnie podziw dla swego zmysłu spekulacyjnego. Wreszcie policja wpadła na trop owego „zmysłu“ do interesów, odkrywając potajemną komórkę telefoniczną ze 177 połączeniami. Doskonale zorganizowana sieć telefoniczna służyła do uprawiania kombinacji spekulacyjnych na giełdzie, gdzie odbywały się aukcje z jutą indyjską. Liczba zaareztowanych kombinatorów z instynktem do interesów wzrosła już do 69... Jot



Jeanne Bourgeois — „Mistinguette“

Mistinguette nie śpiewa już więcej

Przed kilku dniami obiegła świat wiadomość, że w wieku lat osiemdziesięciu dwóch zmarła Mistinguette, największa niewątpliwie gwiazda rewiiwa obok Josephine Baker, artystka, która mając lat siedemdziesiąt pięć występowała jeszcze na scenie.

Właściwie nazywała się ona Jeanne Bourgeois i światło dzienne ujrzała w domu biednego tapicera na jednym z dalszych przedmieść Paryża. Od piętnastego roku życia związała się ze sceną i odtąd przez pół wieku z okładem błyszczała jako wiecznie młoda „Mistinguette“ w rewiałach „Moulin Rouge“, „Casino de Paris“, bądź „Folies Bergères“. Właśnie w Paryżu podbiła tańcem i piosenką nie tylko bogatych bywalców owych teatrzyków i kabaretów, lecz przede wszystkim serca ludu paryskiego. Tu również odkryła za kulisami w niezwykle utalentowanym uczniu, rzemieślniczym swego przyszłego partnera, podobnie jak i ona — wiecznie młodego Maurice Chevaliera, który — jak przy końcu swego życia wyznała — był jedyną jej wielką miłością.

Uroczą i pełną temperamentu Mistinguette, nigdy nie trzymała strony sfer możnych i wpływowych, ale zawsze broniła sprawy tych, z których sama wyszła. W tym właśnie rysie swego charakteru była podobna do wielkiego Chaplina oraz Josephine Baker. Gdy w latach 1936 i 1937 organizowano międzynarodową pomoc dla republikańskiej Hiszpanii, Mistinguette opowiedziała się po stronie sił demokratycznych, walczących z frankistowskim faszyzmem. Występowała w tym okresie w

Paryżu przed tysięcznymi tłumami wraz z Paul Robesonem, Pablo Casalem i Maurice Chevalierem, zdobywając sympatię i fundusze dla walczących za sprawę ludu. Cały Paryż pamięta ją z okresu okupacji hitlerowskiej, kiedy każdorazowe występy Mistinguette przybierały formę demonstracji patriotycznej. Wszelkie propozycje ze strony okupanta, aby grała w Berlinie albo nakręciła film, odrzucała, mimo że groziło jej represjom.

To, że mogła wystąpić po wojnie w wieku lat siedemdziesięciu pięciu, jak już wspomnieliśmy, zawdzięczała Mistinguette już nie tyle swym wielkim umiejętnościom, ile faktowi, że dla stolicy Francji była ona żywym symbolem wiecznej młodości i gorącego umiłowania życia. Szczególnie jednak tego wszystkiego, co w życiu jest piękne i wartościowe oraz dla czego warto żyć. W tym leżała również tajemnica jej wielkiego czaru i powodzenia i to nie tylko na scenach Paryża.

Od dawna namawiano ją, by napisała pamiętniki. Dała się wreszcie przekonać i oto co powiedziała we wstępie: „Wspomnienia można tylko wówczas spisywać, gdy skończy się już z życiem... Jednakże moje życie rozpoczyna się każdego dnia od nowa. Wydaje mi się, że ja nigdy nie umrę!“

Wraz z Mistinguette zgasł kawałek takiego Paryża, jakim go znał cały świat i jak go cudnie uosabiała wielka Mistinguette. Ski

Na warsztacie twórczym zespołów filmowych

Upłynęło kilka miesięcy od chwili powstania pierwszych zespołów filmowych, zrzeszających twórców filmów fabularnych, w tej liczbie scenarzystów, reżyserów, operatorów i kierowników produkcji, pragnących realizować filmy wspólnie w stałych kolektywach. Zespoły mają szeroki zakres samodzielności zarówno w opracowaniu i doborze scenariuszy, jak i w obszarze własnych koncepcji artystycznych przy ich realizacji.

Za wcześniej jest jeszcze wyciągać zbyt daleko idące wnioski, jednakże stwierdzić trzeba, że od chwili powołania zespołów w naszym życiu filmowym dał się zauważyć szereg pozytywnych zjawisk. Zaliczyć do nich należy przede wszystkim powstanie wielu nowych scenariuszy, których brak tak bardzo dawał się odczuwać przed powstaniem zespołów. Część nowopowstałych scenariuszy skierowano już do produkcji. Z zespołami ściśle współpracuje kilkadziesiąt literatów.

W zespole „Studio“, kierowanym przez A. Forda (kierownik literacki R. Bratny), młodzi realizatorzy Ewa i Czesław Petelscy przenoszą na ekran powieść J. Meissnera „Wraki“. Operatorem tego barwnego filmu jest K. Chodura. Aleksander Ford pracuje obecnie nad scenariuszem filmu o Ondraszku wg powieści Morcinka. „Ondraszek“ będzie naszą pierwszą pozycją fabularną zrealizowaną na szeroki ekran z dźwiękiem stereofonicznym.

W wytwórni wrocławskiej trwają ostatnie prace nad udźwiękowieniem filmu „Tajemnica starego szybu“, zrealizowanego przez Wadima Berestowskiego według „Księgi urwisów“ E. Niziuskiego. Ilustrację muzyczną „Tajemnicy“ opracowuje St. Skrowaczewski. Film ten zrealizowany został w zespole „Start“, kierowanym przez W. Jakubowską i M. Żuławskiego (kier. literacki). W tym też zespole

znany operator Stanisław Wohl próbuje swych sił na polu reżyserskim. Rozpoczął on realizację filmu osnutej na współczesnej tematyce wiejskiej pt. „Jęczmień“ — według scenariusza B. Koguta.

W zespole „Kadr“, kierowanym przez J. Kawalerowicza (kierownik literacki K. T. Teplitz), dobiega końca montaż filmu „Cień“, opracowanego według noweli A. Scibor-Rylskiego pod tym samym tytułem. Reżyserem filmu jest J. Kawalerowicz, operatorem R. Lipman. Następną pozycją przygotowywaną przez ten zespół jest „Tajemnica maszynisty Orzechowskiego“ — barwny film reżyserowany przez A. Munka, znanego dotychczas jako realizatora filmów dokumentalnych.

„Nikodem Dyżma“ — to tytuł filmu nakręcanego przez Łódzką Wytwórnię Filmów Fabularnych, przy którego realizacji współpracują dwa zespoły — „Rytm“ (kierownik J. Rybkowski), kierownik literacki A. Scibor-Rylski i „ZAF“, zespół L. Starskiego (kierownik literacki A. Stern). Film ten oparty jest na znanej powieści T. Dołęgi-Mostowicza, w roli głównej ujrzymy w nim A. Dymkę.

W najbliższym czasie „Rytm“ udostępni naszej publiczności wyreżyserowany przez T. Makarczyńskiego barwny film „Warszawa — wioska mała“ (dotychczasowy tytuł roboczy brzmiat „Syrena warszawska“). Inny współpracownik „Rytmu“, reż. St. Lenartowicz, pracuje wraz z operatorem M. Jahodą nad filmem psychologicznym „Zimowy zmierzch“.

W zespole „Syrena“ — kierownik artystyczny J. Zarzycki, literacki — J. Andrzejewski, rozpocznie prace nad nowym filmem o współczesnej tematyce wiejskiej według scenariusza D. Scibor-Rylskiego. Scenariusz komedii filmowej „Obrazki warszawskie“ przygotowuje dla tego zespołu St. Dygat.

HISTORIA W HUMORZE

Zręczny wybieg

Nadworny kaznodzieja króla angielskiego Karola II — dr South, uczuł się niemile do tknięty, gdy zauważył, że pod czas jego kazania większość dostojnych słuchaczy, a między nimi również król — usnęła i chrapała w najlepsze. Przerwał więc kazanie i krzyknął donośnym głosem: — Książę Arlington!

Książę Arlington zbudził się i zdziwiony rozejrzał dokoła.

— Przepraszam Waszą Książęcą Mość za przerwanie wypowiedzenia — rzekł dostojnie dr South — Wasza Książęcą Mość chrapała głośno. Obawiałem się więc, że może się obudzić Jego Królewska Mość.

Skąpa bankierowa

Za czasów Napoleona i żył w Paryżu bardzo bogaty bankier Simon. Jego chytra żona zatrzymała mu życie nadzwyczajnym skąpstwem.

Raz bankiera odwiedziło kilku znajomych. Pani Simon kazała zapalić tylko jedną świecę w bardzo dużym pokoju pomalowanym na ciemno.

— Moja droga! — rzekł Simon uprzejmie do swojej żony przy znajomych — każ zapalić jeszcze jedną świecę — żebym mógł zobaczyć, gdzie stoi ta pierwsza.

Wet za wet

Gdy w 1754 roku Johnson posłał swojemu wydawcy ostatni arkusz „Słownika literatury angielskiej”, otrzymał od niego list:

— Andreas Millar przesyła w załączeniu panu Samuelowi Johnsonowi honorarium za ostatni arkusz jego słownika i dziękuje Bogu, że już nigdy nie będzie miał okazji spotkać się z nim!

Johnson chwycił natychmiast za pióro i odpowiedział:

— Samuel Johnson potwierdza przyjęcie umówionego honorarium za ostatni arkusz swojego słownika i bardzo się cieszy z wiadomości, że pan Andreas Millar ma w sobie jeszcze tyle uczciwości, że jest zdolny Panu Bogu za coś podziękować!

Odwrotna proporcja

Komik Giuseppe Giampietro uskarżał się, że nie może przeżyć miesiąca za swoją miesięczną pensję.

— To dziwne — odparła młoda artystka — ja mam o wiele mniejszą pensję, a jednak dobrze żyję.

— Dlatego — odpowiedział Giampietro — że twoje dochody powiększa to, co powiększa moje wydatki.

Mąż poznał lepiej

Poeta angielski John Milton ożenił się po raz trzeci z piękną, ale nieznosną kobietą.

Przy spotkaniu lord Buckingham mu gratulował:

— Rzeczywiście, pańska żona jest jak róża!

— Tak, milordzie, pan sądzi według pięknych kolorów, a ja według cierni — odpowiedział poeta.

Kiepski przyjaciel

Napoleon przyjął raz pana de Cominges, z którym kiedyś razem uczęszczał do szkoły wojskowej w Brienne.

Po wymianie kilku wspomnień z młodocią cesarz go zapisał:

— Co robiłeś podczas rewolucji? Służyłeś gdzie?

— Nie, sire.

— Poszedłeś z Bourbonami na wygnanie?

— Nie, sire, gospodarzyłem na swoim małym gospodarstwie.

— Byłeś w polu w następnej wojnie?

— Nie, sire.

Pan de Cominges wyjawiał skromne życzenie, że pragnąłby otrzymać posadę w urzędzie podatkowym. Cesarz zażądał uczynić jego prośbie, a gdy pan de Cominges odszedł, Napoleon kręcił głową i mówił:

— I ja, proszę was, byłem przyjacielem takiego człowieka!

DIALOG REALISTYCZNY

Julian Mikołajczak

— Ma pani wolną maszynę, panno Zofio?

— Słucham, panie kierowniku.

— Właśnie byłoby coś do przepisania.

— Dużo? Niech pan da.

— Podyktuję, będzie szybko. Dwie kopie, panno Zofio. Albo zaraz! Trzy. Tytuł: „Wytoczne pracy naszego wydziału w dziedzinie kulturalnej i bytowej w roku 1956”. Tytuł podkreślić. Punkt 1:

„Uzupełnić biblioteczkę zakładową nowymi pozycjami z literatury pięknej”. Dlaczego pani tak dziwnie na mnie patrzy? Punkt 2: „Dopilnować, by gazетка ścienna nie była robiona tylko z wycinków z „Przyjaźni” i „Trybuny Ludu” i by ukazywała się częściej niż raz w roku”. Niech pani nie przerywa, panno Zofio! Gazetka ścienna, to oreż.

W to chyba pani nie wątpi, co? No, widzi pani. Punkt 3: „Nie dopuścić, by zniżkowe bilety do teatrów i kin przydzielane były stale tym samym osobom”. Znów się pani coś nie podoba? Przecież to skandal, żeby pozbawić ludzi tak potrzebnej rozrywki, jak teatr i kino. A u nas rozdzielają się bilety po kumatecku. I z tym trzeba wreszcie skończyć. Punkt 4: „Zakupić odpowiednią ilość ręczników i mydła do zakładowej umywalni z funduszu na to przewidzianych”. Zupełnie nie rozumiem, panno Zofio, dlaczego pani kręci głową. Tak, niestety! Sprawa czystości to brudna karta naszego zakładu. A nie zaprzeczaj pani chy-

ba, zwłaszcza jako kobieta, że higiena osobista to problem nader ważki. Dlatego w tym roku musimy zakupić mydło i ręczniki. Jedziemy dalej. Punkt 5: „Zwrócić uwagę niektórych naszych kierowników na tryb ich postępowania wobec młodych i ładnych pracownic różnych pionów. Wszelkie ekscesy w tej dziedzinie...” Dlaczego pani nie pisze? Co miało znać to wymowne spojrzenie? Panno Zofio, jeśli ma pani jakieś zarzuty pod moim adresem, proszę wystąpić z nimi na zebraniu ogólnym. Ja przyjmę każdą krytykę. Ale teraz piszemy: „Wszelkie ekscesy w tej dziedzinie uważać się będzie za naruszenie pragmatyki służbowej”. Koniec. Mój podpis, dzisiejsza data. A w ogóle, to mam do

pani pretensje o to ciągle przerywanie w czasie dyktanda. Może zechce mi pani wyjaśnić, co to miało znaczyć?

— Chciałam panu kierownikowi powiedzieć, że nie ma sensu tego wszystkiego dyktować, bo ja już taki plan pisałam!

— Dla naszego wydziału? Niemżliwe. Kiedy?

— Dokładnie rok temu. I też z kopiami. Jedną z nich ma pan kierownik w ręce. Czy nie praktyczniej byłoby — zamiast przepisywać na nowo — wywiesić tę kopię od razu na tablicy ogłoszeń?

— To wykluczone, panno Zofio.

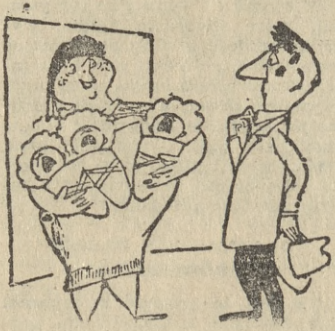
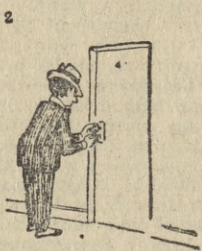
— Dlaczego?

— Data by się nie zgadzała, kotku, data!



— Czy nie uważasz, że już powinniśmy przestać go wozić?

POEZJA I PROZA



— Widzi pan teraz, to nie był jednak wyrostek robaczkowy.



— Nie tak, syneczku! Jeśli chcesz oddychać, musisz wywrzucić się odwrotnie. „Dikobraz”



— Wezmę je wszystkie. Będę miała coś nadzwyczajnego. („Uilenspiegel”, Amsterdam)



— Czy próbował pan już kiedyś to rozczesać?

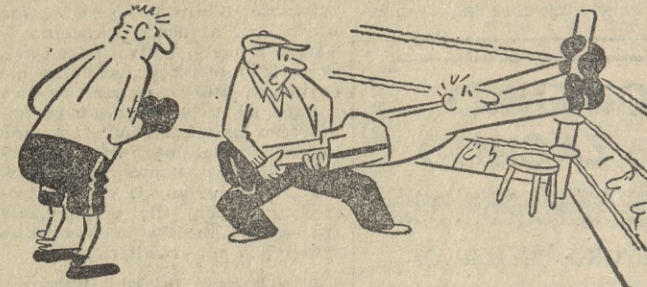
— Sto lat nie zgadniesz, gdzie byłem...



(„Uilenspiegel”, Amsterdam)



— Jest pani trochę przeziębiona?



— Chodź, Janie, gdzie jest twoja odwaga.



— Ratunku!



— Przyznaję, że ja mam też swoje błędy — na przykład mój największy siedzi naprzeciwko mnie. („Uilenspiegel”, Amsterdam)



Bez słów („Uilenspiegel”, Amsterdam)

Włodzimierz Scisłowski HISTORIA NIETYPOWA

(Na marginesie nadużyć w niektórych spółdzielniach pracy)

Pierwszy miał knajpę kiedyś na Pradze — mieć na uwadze pierwszego radzę.

Drugi z Niemcami robił „handelek” — zwano go wtedy „Kapiszon-Felek”.

Trzeci przeżywał „tragizm i mękę” i przed „Polonią” opijał „miękkie”.

Czwarty za dziwki najchętniej płacił — właśnie rok temu zwinął „warsztacik”.

Piąty miał sklepik na Mazowieckiej, wille w Szczecinie i pannę z dzieckiem.

Szósty — to przy nich skromna figura! Za malwersację wyleciał z biura.

Jakoś się wszyscy jednak zwachali, trochę popili i porzygali,

porozrabiali, powspominali, porozmawiali, ponarzekali —

i założyli pośród owacej spółdzielni pracy „ŚWIT DEMOKRACJI”.